Obóz myśliwych niedaleko zatoki Camberland Sound. **Tego dnia Eskimosi mieli całkiem udany połów i polowanie.** Złapali przeszło 200 kilogramów ryb i i ustrzelili jedną fokę obrączkową.

Na szlaku eskimoskich myśliwych

Jony, który podjechał do nas na skuterze, był zaskoczony: nie byliśmy odmrożeni i nadal szliśmy! Przyznał, że kiedy zobaczył nas pierwszy raz, nie sądził, iż dotrzemy tak daleko. Był pewien, że zawrócimy albo zamarzniemy. Bo w tym rejonie świata rzadko spotyka się wędrowców.

Tekst i zdjęcia: Norbert Pokorski

Kiedy w połowie marca wsiadałem do samolotu, którym z Okęcia leciałem do Toronto, Polska żegnała mnie piękną, słoneczną pogodą. W powietrzu czuło się wiosnę. Kanada przywitała mnie za to mroźnym powiewem zimy.

Moim celem było dotarcie do Iqaluit - osady eskimoskiej, położonej na Ziemi Baffina, wyspie leżącej po zachodniej stronie Grenlandii. Rząd Kanady, powołując w 1999 roku do istnienia nową prowincję Nunavut, obejmującą swym zasięgiem tereny zamieszkałe przez Eskimosów, jej stolicą uczynił właśnie Iqaluit. To niewielkie miasto jest bramą do bezkresnych obszarów Arktyki Kanadyjskiej. Jednak zanim stanąłem na ziemi Innuitów - jak sami nazywają siebie Eskimosi - musiałem pokonać tysiące kilometrów dzielących Polskę od tego odległego zakątka Kanady.

Żółta zorza nad głową

W Toronto czekał już na mnie pochodzący z Torunia, a mieszkający w Kanadzie Wojtek Grężlikowski, z którym zamierzałem odbyć wyprawę na Baffin Island. Chcieliśmy pokonać używany od pokoleń przez innuickich myśliwych szlak z Iqaluit do Pangnirtung. Wiedzie on przez góry oraz zamarzniętą zatokę Camberland Sound, która, niestety, nie każdego roku zamarza, przez co jej pokonanie i dotarcie do Pangnirtung bywa niemożliwe. Jednak o tym, czy uda się ją przejść czy nie, dowiedzieć mieliśmy się dopiero nad jej brzegiem od myśliwych.

Załadowaliśmy nasz ekwipunek do samochodu i ruszyliśmy do Ottawy, skąd mieliśmy bezpośredni lot do Iqaluit. Na tamtejszym lotnisku od razu zabraliśmy się za pakowanie sań i zmianę ubrań na specjalnie przygotowane do wyprawy. Pół godziny później ruszyliśmy z lotniska w kierunku Sylvia Grinnell River, gdzie spędziliśmy pierwszą noc. Temperatura wynosiła niespełna minus 15 stopni Celsjusza. Po trzech godzinach marszu w zupełnych ciemnościach (w połowie marca słońce w tej części Arktyki zachodzi przed godz. 18) dotarliśmy do niewielkiej chaty.

> ***W naszych termometrach skończyła się skala, więc nie wiedzieliśmy, ile jest dokładnie stopni.***
>
> Norbert Pokorski

Rankiem od razu zajęliśmy się ostatecznym przejrzeniem sprzętu zapakowanego na saniach. Rozdzieliliśmy także po równo ciężar. No i ruszyliśmy. Przez cały dzień przebijaliśmy się przez góry, aby dotrzeć do szlaku prowadzącego z Iqaluit do Pangnirtung. Przeprawa była dość ciężka, gdyż na początku drogi nasze sanie ważyły przeszło 80 kilogramów. Nie udało się przed zmierzchem dotrzeć do szlaku. Namioty rozbiliśmy u podnóża góry, kilkanaście kilometrów od miasta. Na rozgwieżdżonym niebie pojawiła się żółta zorza polarna, która towarzyszyła nam jeszcze przez kolejne trzy noce.

Następnego dnia przed południem dotarliśmy w końcu do szlaku, który jest uczęszczany przez myśliwych podróżujących na skuterach, dzięki czemu znaczą go nie tylko tyczki i Inukshuki, czyli kamienie ułożone jedne na drugich, ale także dobrze widoczne ślady skuterów. Początkowo szliśmy doliną rzeki, która doprowadziła nas do jeziora. Przy brzegu stała niewielka chatka, która służyła rybakom za schronienie. Zatrzymaliśmy się na obiad złożony z dwóch czekolad i jednej chałwy.

Tablica witająca turystów - w językach angielskim, francuskim i innuickim w transkrypcji innuickiej i łacińskiej

Odpoczynek na trasie. Świeciło słońce, **można** więc **było** wyciągnąć na sanie **śpiwory, aby trochę przeschły**, bo były już dość mocno zalodzone.

Wilki wokół obozu

Przechodząc przez jedną z dolin, minęliśmy drogowskaz wskazujący Iqaluit, byliśmy więc pewni, że podążamy właściwą drogą. Niedaleko drogowskazu minął nas Eskimos na skuterze, lecz nie zatrzymał się. Spotkaliśmy go ponownie kilka godzin później, gdy wraz z innymi Eskimosami wracał z polowania na karibu.

Doliny, które przemierzaliśmy, były szerokie, a szlak co kilka kilometrów znakowany tyczką. Wieczorem zaczęliśmy podchodzenie pod górę, jednak nie udało się nam przed zmrokiem dotrzeć do szczytu, dlatego też obóz rozbiliśmy na stoku. Zaczął wiać silny wiatr, a temperatura spadła poniżej minus 20 stopni. Naprawdę przenikliwe zimno zaczęliśmy odczuwać siódmego dnia marszu. Założyliśmy niemal wszystkie ubrania, jakie mieliśmy. Późnym popołudniem dotarliśmy na płaskowyż. Wzmógł się wiatr, a temperatura spadła do minus 50 stopni. Założyłem na ręce łapawice, a na głowę uszankę i kaptur. Mimo to czułem, jak odmrażają się policzki i nos. Przed wieczorem spotkaliśmy Eskimosa - Jony'ego, strażnika przyrody, którego pierwszy raz widzieliśmy, gdy mijał nas na skuterze. Był zaskoczony, że nie byliśmy odmrożeni i nadal szliśmy. Kiedy spotkał nas pierwszy raz, w ogóle nie wierzył, że dotrzemy tak daleko. Był pewien, że zawrócimy albo zamarzniemy.

Na szlaku spotkaliśmy też Pola i Sima, Eskimosów jadących na polowanie. Pierwsze pytania, jakie nam zadali, to: czy mamy co jeść, czy mamy zapas paliwa do kuchenek i czy wszystko jest w porządku. Te pytania słyszeliśmy od wszystkich napotykanych Eskimosów. Przez kolejne dni, mimo niskich temperatur, szło się całkiem nieźle. Świeciło słońce, więc wyciągnęliśmy na sanie śpiwory, aby trochę przeschły, bo były już dość mocno zalodzone. Postanowiliśmy też przetestować telefon satelitarny, ale, niestety, okazało się, że pod wpływem mrozu baterie się całkiem wyczerpały i telefon nie działa. Wojtek wyciągnął panel słoneczny i podłączył do niego baterie.

Zrobiło się jeszcze zimniej. W naszych termometrach skończyła się skala, więc nie wiedzieliśmy, ile jest dokładnie stopni. Spróbowaliśmy jeszcze raz zadzwonić z telefonu satelitarnego. Naładowane baterie i telefon Wojtek przez całą poprzednią noc trzymał w śpiworze. Udało się wykonać dwa połączenia... Był to ostatni raz, kiedy skorzystaliśmy z telefonu - po prostu przestał działać i do końca wyprawy nie udało się go nam ponownie uruchomić.

Wokół naszego kolejnego obozu widać było dużo śladów wilków. Natknęliśmy się też na pozostałości karibu, upolowanego przez nie w nocy. Po śladach udało się stwierdzić, że wilków było kilkanaście. Koło południa temperatura podniosła się do minus 20, niebo spowiły chmury i zaczął sypać śnieg. Widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów. Zaczęliśmy schodzić dolinami, które dawniej wypełniały lodowce, dlatego musieliśmy lawirować między morenami. Udało się nam znaleźć kawałek równego terenu z w miarę przewianym śniegiem, gdzie rozbiliśmy nasz jedenasty obóz.

Foki pod nartami

Nazajutrz widoczność była jeszcze gorsza. Nadal padał śnieg i wiał silny wiatr, przez co namioty były po nocy dość znacznie zasypane. Ruszyliśmy dalej, ale musieliśmy kolejny raz zmienić narty na inne, z założonymi fokami. Zbocze góry, przez które musieliśmy przejść, było zbyt strome, aby pokonać je na zwykłych nartach. Foki, które nakleja się na spód nart, są długimi pasami materiału z niewielkimi, sztywnymi włosami, ułożonymi zgodnie z kierunkiem marszu, dzięki czemu narta bez problemu przesuwa się do przodu, ale się nie cofa.

Pokonawszy wzniesienie, zaczęliśmy schodzić dość stromym zboczem do fiordu. Tu spotkaliśmy Eskimosów, którzy jechali nad pobliskie jezioro, by łowić ryby oraz polować na karibu i foki. Po dwóch godzinach i my dotarliśmy do zamarzniętego jeziora, położonego nieopodal zatoki. Na drugim jego brzegu spostrzegliśmy chatę myśliwską, w której postanowiliśmy zanocować. Przechodząc przez jezioro minęliśmy spotkanych wcześniej Eskimosów, którzy łowili ryby przy użyciu sieci wpuszczonej pod lód. Kiedy dotarliśmy do chaty, okazało się, że jest tam już kilka osób, ale i dla nas znalazło się miejsce. Wkrótce rybacy wrócili z połowu, przywożąc kilka sztuk łososia arktycznego, zwanego w języku Innuitów Iqalue - księciem ryb. Ryby zjedliśmy na surowo.

Dowiedzieliśmy się także, że lód na zatoce Camberland Sound był połamany i większa jej część to otwarta woda, nie ma więc możliwości dotarcia tą drogą do Pangnirtung. Eskimosi stanowczo odradzili nam próbę przejścia zatoki, tłumacząc, że nawet najbardziej doświadczeni myśliwi po zaopatrzenie jeżdżą do Iqaliut, chociaż jest tam dwa razy dalej niż do Pangnirtung. Postanowiliśmy, że nazajutrz zostawimy sprzęt w chacie, a sami bez obciążenia pójdziemy do końca fiordu po zamarzniętym morzu, aby samodzielnie przekonać się, jak wygląda sytuacja. Pierwszy raz od kilku dni siedzieliśmy w cieple, gdyż przez cały wieczór chata ogrzewana była przez kuchenki. Dopiero teraz zaczęliśmy z Wojtkiem odczuwać, że dość mocno odmroziliśmy sobie policzki i nosy, ale nie zważaliśmy na to, gdyż Eskimosi też mieli podobnie odmrożane twarze.

Wcześnie rano ruszyliśmy ku zatoce. Po zamarzniętym morzu szło się dość dobrze. W końcu dotarliśmy do końca fiordu nad Robert Peel Inlet. Stamtąd zawróciliśmy. Dalej była już tylko otwarta woda. Przed zachodem słońca byliśmy z powrotem w chacie. Na kolację dostaliśmy po całym łososiu i spory kawałek mięsa niedźwiedzia polarnego. Eskimosi mieli całkiem udany połów i polowanie. Złapali przeszło 200 kg łososi i ustrzelili jedną fokę obrączkową.

> ***Na kolację dostaliśmy po całym łososiu i spory kawałek mięsa niedźwiedzia polarnego.***
>
> Norbert Pokorski

Następnego dnia, w urodziny Wojtka, ruszyliśmy w drogę powrotną do Iqaluit. Jeden z zaprzyjaźnionych rybaków, Abraham, obiecał złowić dla nas ryby i przywieźć przed południem, abyśmy mieli świeże mięso na drogę powrotną. Dostaliśmy dwa łososie, wyfiletowane i pocięte na małe kawałki, żeby zmieściły się nam do garnków. Przez następne trzy dni na kolację jedliśmy tylko ryby.

Spotkaliśmy też Sima i jego rodzinę. Jechali do Iqaluit po zaopatrzenie. Zapytali o naszą wyprawę. Ojciec Sima nie mówił po angielsku, więc jego żona musiała mu wszystko tłumaczyć z angielskiego na język Eskimosów. Rozmawialiśmy tylko z rodzicami Sima, gdyż - jak każe tradycja - kiedy starsi rozmawiają, młodzi zachowują milczenie. Dowiedzieliśmy się, że za kilka dni będą wracać z zaopatrzeniem, bo zamierzają polować na niedźwiedzia polarnego wraz z turystą z Meksyku, który zapłacił za to 20 tys. dolarów.

Ostatniego dnia marca zrobiła się śnieżna zadymka, później wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, a widoczność spadła do dwóch metrów. Nie dało się iść. Przez cały dzień leżeliśmy w namiotach, naprawiając sprzęt, robiąc notatki oraz śpiąc. Ranek drugiego kwietnia przyniósł tylko nieznaczną poprawę pogody. Wiatr osłabł, ale widoczność nie przekraczała kilkunastu metrów. Mimo to ruszyliśmy w drogę, korzystając z GPS-u oraz kompasu. Było to uciążliwe, ponieważ kompletny brak widoczności uniemożliwiał trzymanie się dolin, którymi najwygodniej wędrować. Musieliśmy iść wprost przed siebie, co chwilę wspinając się na górki i schodząc w dół. Było to męczące, ale posuwaliśmy się cały czas do przodu. Pomimo takich warunków udało się nam przejść całkiem spory dystans i wieczorem odnaleźć szlak, przy którym rozbiliśmy obóz.

Dwudziestego dnia marszu znów spotkaliśmy Sima i jego rodzinę, udających się do Kipisy. Ojciec Sima zapytał, czy jesteśmy głodni, od razu też wyciągnął z sań kawałek mięsa karibu i ofiarował go nam. Na ich saniach wyładowanych paliwem i jedzeniem dostrzegliśmy zestaw do odbioru telewizji satelitarnej. Wzbudziło to nasze ogromne zaciekawienie, w szczególności sposób uzyskiwania energii potrzebnej do jego zasilania. Okazało się, że Eskimosi mają z sobą także agregat prądotwórczy. Po zachodzie słońca dotarliśmy do chaty. Na kolację przygotowałem mięso karibu. Kiedy braliśmy się za jedzenie, zobaczyliśmy dwa skutery. To dwaj Eskimosi wracali do Iqaluit z polowania. Zaprosiliśmy ich na kawę. W ramach rewanżu dostaliśmy spory kawał świeżego, jeszcze ciepłego mięsa karibu. Zostawiliśmy je, by zamarzło, ponieważ zdecydowaliśmy się zabrać je do domu Wojtka i tam przyrządzić na grillu.

Wyglądaliśmy okropnie

Wyprawa powoli dobiegała końca, ale wcale nie było lżej. Co jakiś czas musieliśmy podchodzić pod górę, aby przejść do następnej doliny. Podczas jednej z takich przepraw Wojtek znalazł szkielet renifera z dobrze zachowaną czaszką i porożem. Zabrał ją ze sobą jako trofeum z wyprawy. Wieczorem dotarliśmy w pobliże Iqaluit. Słychać było już odgłosy miasta, jednak nie udało się nam dotrzeć tam przed zmrokiem. Do stolicy prowincji Nunavut wkroczyliśmy nazajutrz.

Rankiem ostatniego dnia wyprawy udaliśmy się na lotnisko, aby przepakować sprzęt. Powoli schodziły nam odmrożenia z twarzy, ale i tak wyglądaliśmy okropnie. Podczas lotu do Ottawy stewardesa zaoferowała nam dodatkowe porcje ciasta, gdyż patrząc na nas stwierdziła, że musimy być bardzo głodni.

Z Ottawy pojechaliśmy do domu Wojtka, do Orilli, kończąc rozpoczętą przed miesiącem wędrówkę. Następnego dnia zjedliśmy na kolację grillowane mięso karibu, planując przy tym nową wyprawę w lody Arktyki.

* * *

Norbert Pokorski jest absolwentem biologii na Uniwersytecie Gdańskim, autorem i współautorem kilku prac naukowych na temat ptaków. Jego pasją są też podróże i wyprawy ekstremalne.

Tak wyglądała wędrówka na szlaku Eskimosów. Tu akurat przy pięknej pogodzie, ale bywały też takie śnieżyce, że widoczność spadała do kilku metrów. **Na zdjęciu: Wojtek Grężlikowski schodzi z płaskowyżu.**

Obóz w połowie trasy na płaskowyżu. To był jeden z najzimniejszych dni - temp. spadła do minus 50 stopni Celsjusza.

Wędrując przez Ziemię Baffina, **lepiej mieć broń** cały czas **pod ręką**. To na wypadek spotkania z niedźwiedziem.

Eskimosi też lubią lubią oglądać TV. **Na saniach** wyładowanych paliwem i jedzeniem **znalazło się miejsce dla zestawu do odbioru telewizji satelitarnej.**